

# ALTRUIŚCI

**ANDREW  
RIDKER**

Przełożyła Ewa Penksyk-Kluczkowska

**MARGINESY**

COPYRIGHT © Andrew Ridker, 2019

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY

Ewa Penksyk-Kluczkowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY

Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Dla Paula i Susan Ridkerów

Jesteśmy cudakami wśród zwierząt:  
zagarnia nas pragnienie, wysyła  
odzianych w poszarpany tiul, ale nie powie,  
gdzie zakopało żołądź lub kość.

Mary Jo Bang, *Przepraszam za pragnienie*,  
przeł. A. Pluszka

Rodzinę Alterów nękał ogień w różnej postaci. Pojawiał się całą jesień, niczym znaki, które odczytujemy jako złowieszcze dopiero z perspektywy czasu. We wrześniu Ethan oparzył sobie kciuk, przypalając papierosa. Trzy dni później uszkodzony palnik spowodował awarię całej kuchenki; iskrownik wydał niepokojący odgłos, szereg rozpaczliwych trzasków, po czym buchnęły takie płomienie, że Francine spaliła sobie mankiet. Wreszcie w pięćdziesiąte urodziny Arthura, gdy na trawniku na tyłach domu odbywało się skromne spotkanie towarzyskie, od felernej świeczki, która spadła z ciasta marchewkowego, zajęło się kilka uschłych liści, a Maggie zdeptała je czym prędzej.

Największy z tych jesiennych pożarów nastąpił w listopadzie, w czwartkowy wieczór. Francine siedziała w swoim gabinecie wraz z Marcusem i Margot Washingtonami, małżeństwem prawników specjalizujących się w prawie własności intelektualnej. Co prawda była to ich pierwsza sesja – przyszli z polecenia wspólnych znajomych – ale Francine już o nich słyszała. W kwietniu poprzedniego roku ich niewielka kancelaria z sukcesem reprezentowała nowy jeszcze serwis P2P pozwany przez kapelę hiphopową za popularną piosenkę o niecenzuralnym tytule. Margot bez przerwy stukwała stopą. Marcus wpatrywał się w swoje kolana. Zgłosili się, ponieważ potrzebowali mediacji.

- Rozumie pani delikatną naturę tej sytuacji - mówiła Margot, ściskając uchwyt torebki. - Nikt nie może się o tym dowiedzieć.

Francine rozumiała doskonale. Korzenie Margot w St. Louis sięgały głęboko, historia jej rodziny była istną baśnią o spuściznie i prawach wrodzonych. Podobno jednym z jej przodków był francuski szlachcic Pierre Leclercq. Legenda głosiła, że ów handlarz futer, posiadacz pół miliona hektarów gruntów w kolonialnym St. Louis, dał wolność jednej ze swoich nałożnic, Bathshebie, i przepisał na nią ziemię, żeby nie wpaść w łapy wierzycieli. Ale Bathsheba sprzedała ziemię, Leclercq trafił do sądu i zaczęły się wielopokoleniowe pozwy o jego majątek. Przez wiele lat spadkobiercy handlarza, atakowane ze wszystkich stron ekstrawaganckie postacie, przewodzili arystokracji miasta. Washingtonowie zaś byli wyrazistymi przedstawicielami resztek socjety St. Louis, zwłaszcza jako jedna z dwóch czarnych par mieszkających na Lenox Place, zamkniętej przed światem ulicy nieopodal Central West End.

- Oczywiście. - Francine skinęła głową.

Margot otaksowała wzrokiem pomieszczenie.

- Zawsze pracuje pani w domu?

- Odkąd się tu wprowadziliśmy. Cztery lata temu.

- Cztery lata... Cztery lata - powtórzyła Margot, ważąc miarę tego czasu.

Zanim Arthur przeprowadził tu rodzinę z Bostonu, pomieszczenie, które teraz służyło za gabinet Francine, było po prostu werandą, dobudowaną do domu od zachodniej strony. Jedna z jej ścian była niemal całkowicie przeszklona; przez te szyby Francine całą jesień patrzyła, jak spalone liście klonów czerwonych spadają jeden po drugim na ziemię. Na drzwiach gabinetu prowadzących na zewnątrz wisiała mosiężna tabliczka obwieszczająca obecną funkcję pomieszczenia. Arthur oprotestował koszt tabliczki, podobnie jak paneli dźwiękochłonnych na ścianach, ale Francine go zignorowała. Doskonale wiedziała, jak ważna jest dyskrecja i przekonująca fasada.

Gabinet w domu był swego rodzaju pocieszeniem, najważniejszym warunkiem jej zgody na przeprowadzkę. Potrzebowała miejsca, w którym mogłaby się zająć karierą zawodową, skoro zostawiała intratną posadę w prywatnej poradni w Newton. Choć tu pracowała w niewielkim pokoju w domu, jej nazwisko coraz więcej znaczyło w podmiejskich University City, Clayton i Ladue.

- Nigdy nie miałam skarg - nadmieniła.

Margot energicznie skinęła głową i odstawiła torebkę.

- No dobrze - orzekła. - Ja zacznę. - Z powrotem opadła na oparcie kanapy i skrzyżowała ramiona na piersi. - Skoro musi pani wiedzieć, a pewnie pani musi, mój mąż ostatnio kultywuje swego rodzaju zwyczaj, skłonność, której ja nie zamierzam tolerować i która grozi zakończeniem naszego małżeństwa.

- Chciałabym usłyszeć to z ust pana Marcusa - powiedziała Francine. - Marcus? Mógłby pan się tym ze mną podzielić?

Mężczyzna spod zmrużonych powiek wpatrywał się w mandarynkowe światło zmierzchu przebijające przez szyby.

- On pani nie powie.

- Marcus? - spróbowała Francine raz jeszcze.

- Odmawia uczestnictwa - wyjaśniła Margot. - Ale coś trzeba z tym zrobić. - Urwała na chwilę. - No więc ja powiem: mój mąż lubi się bawić w przebieranki. Jego zdaniem to zachowanie erotyczne.

Francine spojrzała ponownie na Marcusa, ale ten milczał. Lekko zagryzła wewnątrz policzka.

- W porządku - zdecydowała. - Marcusie, naprawdę bardzo by pomogło, gdyby pan coś powiedział.

- Mówi, że lubi to uczucie. To zamknijecie. Mówi, że guma to dla niego druga skóra.

- Guma?

- W zasadzie lateks. Tak. Lubi się przebrać w kombinezon i udawać, że jest zwierzątkiem domowym.

- Ach, rozumiem. - Francine poruszyła się na krześle. - Marcus lubi się przebierać za psa.

- Nie za psa. Za zwierzątko domowe. Czasami jest to pies, czasami kot. A czasami chomik, co jest absurdalne, bo chomiki żyją w klatkach i biegają w kołowrotku, podczas gdy Marcus... Marcus jest szanowanym prawnikiem, prowadzi kancelarię. - Margot wtknęła głowę do torebki i grzebała tam, aż wydobyła czarną maskę z dwójgiem długich uszu zwisających z górnej części. - Załóż to - rozkazała.

- To nie jest konieczne - zastrzegła Francine.

- Jemu się bardzo podoba, że może pani pokazać, jak wygląda. Załóż to, Marcus.

Zanim Francine zdążyła zaproponować, mężczyzna już trzymał maskę w rękach. Patrzyła, jak ochoczo wciąga ją na głowę i poprawia, aż w otworach pojawiły się jego oczy.

- Widzi pani? Widzi pani, co ja muszę znosić?!

Francine kiwnęła głową. Zaczynała rozumieć, o co chodzi. Jej klienci z dzianych dzielnic, ogólnie rzecz biorąc, dzielili się na dwie kategorie: na tych, którzy mieli do przepracowania poważne problemy, i na tych, których neurotyczne usposobienie doprowadziło do przekonania, że nawet najłżejsza zmiana nastroju to powód do niepokoju. Że każde niezadowolenie to na pewno depresja, że fala paniki to co najmniej kliniczny przypadek lęku podnoszący niespokojną głowę. Odniosła wrażenie, że Washingtonowie należą do tego drugiego obozu. Prawdopodobnie szukali po prostu zapewnienia, że są normalni.

Francine ostatnio tyle razy musiała kogoś zapewniać, że szczerze ją to znudziło. Brakowało jej przypadku, w który mogłaby się zaangażować. Cały dzień myślała dziś o tej wizycie, denerwowała się jak zawsze przy nowych pacjentach, chciała zrobić dobre wrażenie - i co tu widzi? Maleńką perwersję wieku średniego? Jakby życie ze swoimi rutynowymi zmaganiem nie było wystarczająco trudne.



Weźmy Maggie. Dostawała napadów szału z powodu roli w konkursie z okazji Święta Dziękczynienia. Chciała być Indianką – takie nazewnictwo, jakkolwiek niepoprawne, pokutowało jeszcze w Captain Elementary w roku 2000 – a tymczasem została obsadzona w roli rogu obfitości. Ethan z kolei zaczął zamykać się w swoim pokoju. Odciał się od rodziny i zastąpił ją komputerem, a był na tyle przezorny, że kupił go dopiero po tym, gdy fobia na punkcie Y2K okazała się nieuzasadniona. Kupił go za własne pieniądze, które zaoszczędził, w każde wakacje pracując dzielnie w JCC w Creve Coeur, i ta linia obrony – „To moje pieniądze, mogę z nimi robić, co chcę” – jak na razie skutecznie powstrzymywała Francine od interwencji. A na domiar wszystkiego w tym tygodniu uniwersytet odrzucił podanie Arthura o profesurę. Już od czterech lat był profesorem wizytującym na Wydziale Inżynieryjnym, chociaż we własnym odczuciu piastował stanowisko niemające nic wspólnego z wizytą. Prowadził więcej zajęć niż którykolwiek z jego kolegów, zasiadał w niezliczonych komisjach, a przede wszystkim wziął – może zbyt pochopnie – ogromny kredyt na zakup domu. Pomimo tego wszystkiego dziekan jego wydziału, Sahil Gupta, powiadomił go, że nic nie można zrobić, dopóki budżet się nie domknie. I teraz Arthur całymi dniami chodził po domu, przeklinając pod nosem i od czasu do czasu powtarzając jak mantrę: „Budżety się same nie domykają”.

– Czujecie ten zapach? – spytał Marcus spod maski.

– Nie zmieniaj tematu – warknęła Margot.

– Chwila. – Marcus pociągnął nosem przez otwory na nozdrza. – Coś się pali.

– Pani doktor, on unika tematu, prawda?

Francine przechyliła głowę.

– Ma rację. Też coś czuję. – Powietrze w gabinecie zrobiło się szare. – Okej, wychodzimy, natychmiast – rozkazała.

Razem z Washingtonami wyszła na korytarz, gdzie zebrali się tymczasem Arthur, Ethan i Maggie. Już po chwili obie rodziny

stały w półokręgu na chodniku przed domem, pod szybko siniejącym niebem. Gdzieś zza murów Chouteau dobiegało przeciągłe zawodzenie syren.

- Kto to? - spytała Maggie, wskazując Marcusa.

Margot zmrúżyła oczy.

- Zdejmij maskę - rozkazała. - Dziewczynka się ciebie boi.

- Wcale się nie boję.

Syreny wyły już głośniejsze. Arthur zaczął krążyć.

- Coście narobili? - spytał nie wiadomo kogo.

- Nic. Ja nic nie robiłem - pospieszenie zapewnił Ethan.

- Ja ćwiczyłam swoją rolę - dodała Maggie.

- Przecież jesteś rogiem obfitości - odrzekł Arthur. Na ulicy zrobiło się gęsto od błysków. Za nimi zatrzymał się wóz strażacki. - Rogi obfitości nie mówią - burknął pod nosem, spiesząc na naradę z mężczyzną wysiadającym z szoferki.

- Ja mówię! - krzyknęła za ojcem Maggie. - Mam kwestię!

- Tata wie - łagodziła Francine. - Tata wie.

Lynn Germaine, która mieszkała w stylowym kamiennym domu tuż obok, nieśmiało wychynęła zza drzwi.

- Coś się stało? - zawołała życzliwie z progu. - Coś się pali?

Francine pomachała jej uspokajająco.

- Nic nam nie jest, Lynn - odparła. Z każdą kolejną minutą wystawiania życia na widok publiczny mocniej płonęły jej policzki.

Margot wysłała Marcusa, żeby uruchomił auto. Westchnął i oddalił się niechętnie. Odprowadziła go wzrokiem, po czym skierowała go na Arthura. Po czym odwróciła się do Francine.

- No tak. - Ruchem głowy wskazała wóz strażacki. - A państwo ile lat po ślubie?

Zanim Francine odpowiedziała, wrócił Arthur. Trzech strażaków właśnie dopadło drzwi Alterów. Dwóch innych rozwijało długi wąż i podłączało go do hydrantu przy posesji Geramine'ów. Serce Francine zacięło się, gdy patrzyła, jak wdzierają się do jej domu.

– Coście narobili? – spytał Arthur ponownie. Obgryzając skórki, spoglądał to na wóz, to na dom. – Powinienem tam pójść.

– Daj im działać – odparła Francine.

– Oni nie wiedzą, gdzie co jest. Nie zorientują się, co trzeba ratować w pierwszej kolejności.

– Niczego nie będą ratować. Oni będą gasić ogień.

– Patrzcie! – zawołała Margot. – Widać, jak dym się wydostaje przez okna!

Arthur rzucił się w stronę domu. Francine doskoczyła i chwyciła go za kołnierz. Swoim silnym chwytem osadziła go w miejscu i już nie puściła. Nie po raz pierwszy. „Tym się właśnie zajmuję” – pomyślała, zawstydzona, że robi to na oczach Margot, zawstydzona, że powstrzymuje Arthura i nie pozwala mu pójść na pewną śmierć, podczas gdy oto jej życie uchodzi z dymem, a przy tym cały czas zadawała sobie pytanie: „Co ten człowiek by począł beze mnie?”.

## **CZĘŚĆ I**

- Idziesz z nami.

Maggie znała Emmę od zawsze, ale wstydliwa dziewczynka, która grała na saksofonie w licealnym jazz-bandzie z takim entuzjazmem, by zrehabilitować ten instrument, i tym samym jazz, teraz była na drugim roku prawa. Kilkanaścioro jej kolegów z roku stało w salonie, trzymając pod ramię ważne osoby albo pewnie opierając ręce na biodrach. W aneksie kuchennym wielkie flaszki wódki z insygniami ze zmatowionego szkła dzieliły blat z plastikowymi baniakami Simply Orange. Maggie dałaby się pociąć, że kolarzy lecącą w tej chwili piosenkę, ilekroć jednak już, już miała ją rozpoznać, w telefonie podłączonym do głośnika grzmiał dźwięk przychodzącego esemesa i skutecznie ją rozpraszał.

- Zawsze się pojawiaasz na początku imprezy - ciągnęła Emma - ale potem się wymykasz, jakbyś sądziła, że nikt tego nie zauważy.

- Nieprawda - odparła Maggie.

- No to dobrze. Bo dzisiaj idziesz z nami.

Maggie zgrzytnęła zębami i wpatrywała się w pomarańczowy krążek resztek na dnie swojego kubeczka. Po drugiej stronie pomieszczenia wyszczerzony chłopak w modnych okularach czarował kogoś, kogo Maggie nie rozpoznawała.

- Dużo tu interesujących osób - dodała Emma, ruchem ręki wskazując grupkę kolegów.

Maggie się skrzywiła. To wszystko wydawało się jej sztuczne. Wszyscy byli za bardzo przygotowani, zmobilizowani, zbyt pewni siebie. Dopadł ją atak paranoi. Czy tę imprezę na Lower East Side, tę zbieraninę marketingowców, analityków finansowych i prawie prawników, zorganizowano ze względu na nią? Maggie nie mogła się pozbyć wrażenia, że ta ewidentna prezentacja awansu społecznego z założenia miała jej coś przekazać.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Emma wyrzuciła ręce w górę.

- Nic nie chcę powiedzieć, nic a nic!

Maggie opuściła ramiona. Mimo wszystko nieźle sobie radziła. Zarabiała na czynsz, pracując dla dobrych ludzi z Queens. Za jedyne go szefa miała swoje sumienie. Na ogół oznaczało to zajmowanie się różnymi sprawami: a to pilnowanie dzieci, a to kontaktowanie się z urzędem w imieniu jej hiszpańsko-, rosyjsko- czy chińskojęzycznych sąsiadów. Różnie. W ciągu pięciu miesięcy dorobiła się niewielkiej sieci klientów, przeważnie imigrantów, którzy uważali jej amerykańskie obywatelstwo za atrakcyjny walor. Była to praca satysfakcjonująca, choć niezbyt dobrze opłacana. Maggie wiecznie chodziła trochę głodna.

Zbliżył się do nich uśmiechnięty chłopak.

- Rozmawialiśmy o Zieglerze - powiedział.

- O mój Boże! - krzyknęła Emma. - Ziegler!

- Kto to Ziegler? - spytała Maggie.

- Jeden z naszych wykładowców - wyjaśnił chłopak. - Od deliktów.

- Co to są delikty?

- Kiedy poszkodowana strona...

- Zresztą nieważne.

- Okej - odparł chłopak urażony.

Emma ich sobie przedstawiła.

- To jest Maggie. Chodziłyśmy razem do liceum.

- Czym się zajmujesz? - spytał chłopak, spoglądając na nią niechętnie.

Ostatnio pewna Polka z Himrod Street wynajęła Maggie do rozmawiania z jej nowo narodzonym synem. Mogła mówić wszystko, co jej się żywnie podobało, byle po angielsku, a przyświecała temu idea, że dziecko przyswoi język do swojej kielkującej podświadomości i będzie nim płynnie mówić. Ale pierwszego dnia, gdy tylko matka wyszła z pokoju, Maggie wpadła w stupor. Przez całą sesję szeptała „ekhm”, „hmm” i „eee”, sparaliżowana najpierw z nerwów, a potem z poczucia winy wywołanego perspektywą niezasłużonych zarobków w wysokości dziesięciu dolarów za godzinę. „Nie mogę wziąć od pani pieniędzy - powiedziała kobiecie na koniec sesji. - Ale przyjdę w przyszłym tygodniu i będę miała dużo do powiedzenia. Obiecuję”.

Dobra, no więc głód nie był taki tragiczny, ale szczerze? Odmawiając sobie prawa do najedzenia się do syta, czuła się szlachetnie. Miała pod ręką zawsze tyle pieniędzy, by mogła czuć się szlachetna, żeby stać ją było na wzgardzenie innymi pieniędzmi. Kontrolowała wydatki z surową dyscypliną, konsumowała tylko to, czego potrzebowała, tylko to, na co w swoim odczuciu zasługiwała. Problem polegał na tym, że jej ciało nie odróżniało osobiście narzuconego głodu od innego głodu. Ono, to ciało, znało tylko „głód” jako niedostatek żywności, a zatem Maggie chudła. Sześć funtów w dwa lata. A to nie w kij dmuchał, zwłaszcza jeśli waga wyjściowa nie jest za duża.

Z początku było to fajne, cały czas czuła się lekko, wręcz ulotnie. Chodziła ulicami Ridgewood z lekkim szmerem, który rozmazywał granice świadomości. Ale potem jej skurczom wyrosły szpony, a ataki bólu stały się gwałtowne. Zaczęła się martwić, gdy zemdląca w oparach pięciu smaków za Hong Kong Super Buffet - nogi ugięły się pod nią w akcie buntu. W pierwszym semestrze pierwszego roku na Uniwersytecie Danforth w St. Louis Maggie wybrała dwutygodniowy kurs podstaw filozofii: wprowadzenie do

myśli Zachodu, potem zaś zrezygnowała z niego na rzecz czegoś mniej teoretycznego i na tyle długiego, by nauczyła się wyrażenia „dylemat psychofizyczny”, ale jego definicji już nie. Teraz odnosiła wrażenie, że sama ma problem psychofizyczny. Jej ciało stawiało własne żądania, podczas gdy ta jej część, która definiowała Maggie – zakładała, że to jej ego – niejako unosiła się nad nimi jak zerwany balon.

Emma pomachała jej ręką przed oczami.

– Maggie? Brian cię o coś pytał.

Pomijając wagę, Maggie była przekonująco podobna do zmarłej matki. Miała włosy Francine Klein Alter – rudawobrązowe i kręcone – i subtelne piegi na grzbiecie nosa. Ale gdzie Maggie była drobna, jej matka była mocna – z tym że nie wielka czy masywna. Miała spoistość sugerującą silną wiarę we własną moralność. Po ojcu, choć nie przyjmowała tego do wiadomości, Maggie odziedziczyła lekko wypukłe czoło, czaszkę ukształtowaną przez niezdecydowany umysł.

– Nic jej nie jest? – spytał ten chłopak, Brian.

– Musimy cię nakarmić – orzekła Emma. – Tu chyba gdzieś były naczosy.

– Nie, nie – Maggie zaprotestowała, wymachując ręką. – Nic mi nie jest.

– Na pewno?

Kiwnęła głową. Niewielkie zamroczenie, i tyle.

– Na pewno.

– No dobrze. No to dobrze. Zbieraj się. Wychodzimy za dziesięć minut.

– Dokąd idziemy?

– W świat.

Maggie rozejrzała się po pomieszczeniu. Co kilka minut ktoś odłączał się od jednej grupki i dołączał do innej, co niezmiennie powodowało, że ktoś w tamtej odchodził do jeszcze innej, grupki ciągle się zmieniały, ale pozostawały tej samej wielkości w jakiejś



towarzyskiej termodynamice, którą Maggie odebrała jako rozmyślną i jednocześnie alienującą.

- Na tym polega problem - powiedziała. - Wszyscy obecni są w drodze w inne miejsce.

- O czym ty mówisz? Idziemy do baru. My wszyscy.

Maggie uniosła brwi.

- Nie wrzucaj mnie do jednego worka z wszystkimi.

Emma westchnęła.

- Wszyscy tutaj są bardzo fajni. I kumaci! - Trąciła Briana łokciem. - Brian jest geniuszem.

Maggie pokręciła głową.

- Nie mogę.

- Mags, to moje urodziny. - Uśmiechnęła się rozpaczliwie. - Nikt mnie nie zna tak długo jak ty. Możesz pójść? Proszę? Ten jeden raz? Dla mnie?

Maggie odebrała to jako komplement. Naprawdę najdłużej - a zatem i najlepiej - znała Emmę? Ale już wiedziała, jak wieczór się rozegra. Ona kupi koktajl za szesnaście dolarów i przez resztę wieczoru będzie żałować wydatku, męcząc się podczas rozmów o tym, że pierwszy rok prawa był o wiele trudniejszy niż drugi, a jednocześnie odmawiając drinków dzianym chłopakom, ubranym jak jeden mąż w identyczne niebieskie koszule z przypinanymi kołnierzykami.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie mogę.

Emma przestała się uśmiechać.

- Możesz. Tylko że nie chcesz. Nie musisz tak sobie wszystkiego utrudniać, wiesz przecież. Życie nie musi być ciężkie.

Ale Emma błędnie to ujęła. Życie było ciężkie, niemal dla wszystkich, ci zaś, którzy mieli lekkie, powinni je sobie utrudniać, by uniknąć zgnilizny moralnej. Żadnego widoku Maggie nie odbierała jako równie nieznośnego jak ten: widoku bawiących się ludzi, którzy mają dużo do stracenia.

Nagle zakręciło się jej w głowie. Zemdliło ją. Muzyka spowolniła. Czy ktoś jeszcze to słyszał? Kropla potu spadła do jej kubka. Wyciągnęła rękę, by chwycić Emmę za ramię, ale już nie zdążyła.

Wiedziała, że nie powinna odpuszczać sobie lunchu, ale za omdlenie winała obrażenia, których zaznała z rąk pewnego dwunastolatka.

Dwa razy w tygodniu chodziła do Nakaharów, oficjalnie by pomagać w lekcjach Brunonowi i jego bratu. Ale Bruno niedawno zainteresował się sztukami walki, a to skutkowało konstelacjami siniaków na całym jej ciele, zastałymi plamami o barwie nieświeżego steka. Chłopiec twierdził, że boksowanie korepetytorki jest niezbędną zaprawą.

– Połóż i dołóż! – krzyknął dziś, powalając ją na ziemię.

Chociaż Nakaharowie akurat słabo płacili, Maggie cierpliwie znosiła nękanie ze strony Brunona, a nawet się z niego cieszyła. Jego ataki stanowiły dowód, że jest zaangażowana w pracę, która wymaga poświęcenia. Pomyśl o Matce Teresie, słabowitej i przygarbionej. O Gandhim i jego wystających żebrach. Siniaki Maggie sankcjonowały jej wysiłki. Stanowiły dowód charakteru. Bo o to właśnie chodziło w czynieniu dobra: ostatecznie zawsze dostajesz cios w żołądek.

Nakaharowie mieszkali w przytulnym, choć ciasnym mieszkanku wychodzącym na wstydlivy zakątek pomiędzy Cypress, Myrtle i Madiso w Ridgewood w Queens, pawilon przestrzeni negatywnej, gdzie w niedzielne wieczory słychać wyizolowane składowe dzielnic: godziny bicia kościelnych dzwonów, świst migoczącego neonu. Trzydziestoletni spór pomiędzy łysym a gołębkiem.

– Dobra – burknęła, wyczołgując się spod niego. Teraz utykała. – Widzę, że dalej nie radzimy sobie z gniewem. – W odniesieniu do chłopców używała pierwszej osoby liczby mnogiej. Pomagało to w budowaniu jedności i zaufania.

Salon Nakaharów konsekwentnie śmierdział spalonymi taquito albo pizzerkami, czy jaką tam mrożonką żywił się Bruno w tym tygodniu, doprawionymi pierdami zniedołęźniałego żółtego labradora o imieniu Flower, który już dawno zapuścił korzenie w rogu salonu, by dokonać żywota. Pokrywająca wszystkie podłogi brudna wykładzina miała kolor zleżałego śniegu. Nad brązową skajową kanapą wisały dwa portrety: jeden przedstawiał Michaela Jacksona, drugi (o to musiała spytać) Petra Poroszenkę.

- Nie mam problemów z gniewem - odparł Bruno. - Mam zuba. - Chodziło mu o zaburzenie opozycyjno-buntownicze, o którym przeczytał w internecie. - To prawdziwa choroba - dodał - i doskonale o tym wiesz. - Trafność jego diagnozy nie łagodziła jednak objawów.

- Zaburzenie - poprawiła go. - Nie choroba.

Przez pół roku pracy z Brunonem Maggie naoglądała się, jak porzuca on rozmaite hobby, w tym noże sprężynowe, skrajne obżarstwo i piromanię. Chociaż zdaniem Maggie sporty MMA dawały obłąkanym bokserom jedynie pretekst, by odrzucić elementy filozoficzne, które miały pięściarstwo uczynić „sportem dżentelmenów”, uważała, że to lepsze hobby niż inne. Był to sport i dawał niezaprzeczone efekty. Ślady starań Brunona widać było na jego ciele - a teraz również na ciele Maggie.

- Skończyłem odrabiać lekcje - zawołał Alex od stołu kuchennego, głosem dźwięcznym niczym dzwonek recepcyjny. Podczas gdy Bruno przypominał wielki kłoc o napompowanych kończynach zwężonych w stawach jak u balonowych zwierzątek, jego brat był nieduży i smukły, aerodynamiczny, z jasną skórą i atramentowoczarnymi włosami.

- Jeśli skończyłeś, możesz pograć w MathBlasta. Bruno, natychmiast wyjmij z piekarnika to coś, co tam się kopci.

Zwolniła sprzączkę biegnącego przez pierś paska torby, a ta spadła na ziemię miękkim deszczem brzdęków okuć. Oswobodzona, Maggie podjęła inspicjenckie powinności: położyła trzy

zaostrzone ołówki przy dominującej ręce Alexa, potem zaś usiadła za Brunonem na krześle, by zminimalizować okno z nawalanką, a otworzyć Worda.

Nagle, jakby na dany znak, do kuchni wsunął głowę ojciec bliźniaków, rozczochrany Japończyk, któremu Maggie nigdy nie została oficjalnie przedstawiona – a który niewiele mówił po angielsku, co było dziwne, skoro chłopcy, zdaje się, nie znali japońskiego. Powiódł po pomieszczeniu długim stroskanym spojrzeniem i na powrót zniknął w swoim pokoju.

– Bruno, natychmiast.

Młody z jękiem ruszył do kuchni.

Maggie utrzymywała dyscyplinę niepewną ręką. Pod fasadą surowych zasad skrywała głęboką studnię czułości dla podopiecznych. Nie bawiło jej karanie ich. Wolałaby, żeby się jej podporządkowali z czystego szacunku. Nie wymagała jakiegś bezwzględnej czci, ale uważała, że powinni ją szanować. Szacunek kilkulatków czasami bardzo przypominał brak szacunku. W ten sposób okazywali uczucie. A z pracy nowatorskiego antropologa, czytanej w college’u, pamiętała, że zdobycie szacunku autochtonów jest zawsze krokiem numer jeden. Albo nie „autochtonów”, ale... mniejsza z tym.

– Kto chce minicalzone? – spytał Bruno, wyciągając z piekarnika blachę poczerniałych bułek. I przełączył się na swój raperski głos. – Żarcik, zjebry. Moje, kurwa, wszystko moje. – Odchylił głowę i jeden z dorodnych pierogów trafił do jego paszczy.

Krętą drogę Maggie do Ridgewood zapoczątkował zrodzony w dzieciństwie pomysł, że świat jest nie tylko mały, lecz także podatny na jej działania.

Jako dziecko często spacerowała przez Forest Park w St. Louis, zbierając zbłąkane piłki, które wyleciały z pola golfowego. Gdy zebrała ich tyle, że wypełniły niebieski sześćdziesięciolitrowy pojemnik na odpady trzymany przez rodziców w garażu, myślała je

szlauchem i zaciągała wszystko na chodnik przy rzutni golfowej. Kierowana zmysłem przedsiębiorczości, postawiła szyld „Piłki golfowe – 1 dolar”. Pierwszego dnia zarobiła czterdzieści dolarów, sprzedawszy ponad połowę towaru. Ale nim wróciła na stanowisko tydzień później, zmieniła zdanie. Postanowiła rozdawać piłki za darmo. A czemu nie? Lubiła chodzić na spacer, lubiła zbierać piłki golfowe – nawet lubiła oczyszczający akt mycia! Chociaż sam golf uważała za śmieszny, nieciekawą rozrywkę białych samców najbardziej staroświeckiego gatunku, odkryła, tam na greenie, że lubi rozdawać.

To było doniosłe odkrycie. Skoro szczodrość zapewniała taką euforię, dlaczego ludzie w ogóle cokolwiek sprzedawali? Po co im transakcje? W ciągu dwóch tygodni stworzyła rynek i zniszczyła go. I pobrała cenną lekcję: granice postawione pomiędzy ludźmi a ich systemami tylko z pozoru są nienaruszalne.

Doszła do tego wniosku na przekór ojcu podchodzącemu z głęboką rezerwą do wszelkich przejawów filantropii. Kilka lat po przechytrzeniu kapitalizmu w Forest Park Maggie chciała przekazać swoje kieszonkowe mieszkańcom Nowego Orleanu doświadczonego przez huragan. Ale Arthur ją zniechęcił, wygłaszając wykład o wątpliwym fetyszyzmie wiktylizmu i skłonnościach Czerwonego Krzyża do trwonienia wszystkich pieniędzy na koszty stałe.

– Oni nic nie robią z tą całą kasą, tylko na niej siedzą – perorował.

I nic nie mogło go przekonać do zmiany zdania. W któreś Święto Dziękczynienia, gdy ciocia Bex agitowała przez pół godziny za swoją ulubioną sprawą, ojciec wybuchnął gniewem:

– Na co, u diabła, Izraelowi drzewa?!

Praktycznie rzecz biorąc, była to dewiza rodziny Alterów, przysięga antyhipokratesowa: Po pierwsze, nie czynić dobra.

Nie poddawała się. Ukończywszy dwa lata temu Danforth z rocznikiem 2013, już po śmierci matki i wywołanym przez to chaosie – i nie mogła udawać, że te fakty nie są powiązane

z późniejszymi wydarzeniami – Maggie dołożyła ogromnych starań, by pracować na najgorzej płatnych stażach w organizacjach non profit, jakie dało się znaleźć. Razem ze swoim chłopakiem z college'u, Mikeyem Blumenthalem, wprowadziła się do Midtown, skąd można było pieszo dotrzeć do firmy, w której siedział cały dzień przed dwoma migającymi monitorami, przynosząc wielkie sumy z jednego na drugi. Mieszkając u niego za darmo nad głośnie, obleganą przez turystów ulicą niedaleko Madison Square Garden, mogła sobie pozwolić na poszukiwania bardziej etycznej pracy: niepłatne trzy miesiące przy globalnej inicjatywie poświęconej zdrowiu dzieci, a potem pięć miesięcy w organizacji walczącej o czystą wodę.

Niestety, nie lubiła kobiet, z którymi pracowała, a to niemal zawsze były kobiety. Wszystkie należały do gatunku skazanego na non profit, smutne żołnierki na wojnie z niesprawiedliwością, miały podkrążone oczy i długie pożłobione twarze niczym maski obrzędowe obywateli Trzeciego Świata, którym miały pomagać. Nie miały natomiast żadnych historii, żadnych bohaterских opowieści o pokonanym złu. Rozmowy przy lunchu toczyły zwyczajne, ich żale były pospolite. Więcej energii inwestowały w szwanujący ekspres do kawy niż w lobbowanie ustaw. Gdzie się podział zapał, zastanawiała się Maggie. Gdzie serce?

A co gorsza, nawet się nie wyróżniała spośród stażystów, nie mogła rościć sobie pretensji do tytułu Służebnicy, bo w obu organizacjach była przynajmniej jedna zaburzona dziewczyna, która zadrezczała się każdym wydanym na siebie dolarem, każdą minutą zmarnowaną na niepomaganie innym. Dziewczyna, która rzeczywiście chyba wierzyła, że jej życie jest warte dokładnie tyle samo co każde inne, dziewczyna, która by oszczędzić wodę, nie brała prysznicza, a resztę współpracowników zmuszała do delektowania się wonnymi skutkami jej poświęcenia. Wierny obrońca mikropożyczek, chyba że ktoś potrzebował dwóch dolców na autobus, bo wtedy to nie, sorry, bo czy tych pieniędzy nie wyda się skuteczniej

na moskitierę antymalaryczną dla dziecka w Kongu? W Maggie się gotowało. Z małym Kongijczykiem po prostu nie dało się dyskutować.

Uwielbiała za to swoją trzecią pracę: infiltrowanie meksykańskiej restauracji w handlowym ciągu w Paramus na zlecenie organizacji pracowniczych. (Wtedy zerwała już z Mikeyem, który w ciągu roku po college'u wyhodował pokaźny brzuch, wyłysiał i wstąpił do partii republikańskiej, twierdząc, że to posunięcie ułatwi mu karierę). Dostała za zadanie udawać kelnerkę, zdobyć szacunek innych pracowników i powoli, lecz konsekwentnie siać ziarno rewolucji w ich umysłach. Zachęcić ich do założenia związku zawodowego, z tym że całkowicie niepostrzeżenie.

Widziała w tej misji coś ekscytującego. Dopóki była tajną agentką, nie można było jednoznacznie przypisać jej nic, co robiła, mówiła czy myślała, nawet jeśli sama nie czuła się zbyt tajnie, gdy robiła, mówiła czy myślała to coś. Jak na przykład: „Polecam enchilady” (a nie polecała) czy „Pogodziłam się ze śmiercią matki” (a się nie pogodziła). Nieważne. W końcu to osiągnęła. Tak, po długim, długim czasie pozbyła się tego brzemienia: już nie musiała być sobą.

Tymczasem stała się fenomenalną kelnerką – uprzejmą, wydajną i dowcipną – co było zabawne, bo tak naprawdę nie była kelnerką. Była tajną agentką. Niemniej nigdy nic nie stłukła. Kupowała papierosy dla przepracowanych pomywaczy. Nauczyła się rozpoznawać szczodrych klientów. Była to fizycznie wyczerpująca, ale zadowolająca praca, a do tego Maggie przez cały dzień musiała zachować czujność. Jako kelnerka żyła prosto i bez ambicji.

Po siedmiu miesiącach, gdy zaczęła od niechcenia przemycać słowo „organizować się” w rozmowach z mimowolnymi kolegami, odebrała telefon od prawdziwego pracodawcy.

– Cześć, Maggie – powiedział głos po drugiej stronie. – Mówi Brenna. Brenna z... no wiesz. Jest tu ze mną Jake i Trish. Bardzo nam wszystkim przykro, ale cię zwalniamy.

- Że co?

To się działo we wrześniu. Odebrała telefon na przerwie, stojąc przy śmietniku przed restauracją, z komórką przyciśniętą do policzka, a jej oddech unosił się chmurką w zimnym zanieczyszczonym powietrzu Jersey.

- To nie ma nic wspólnego z twoją pracą. Nie możemy sobie po prostu pozwolić, by cię dalej zatrudniać.

- Jestem zwolniona?

- Z posady u nas tak. Ale nadal oczywiście pracujesz jako kelnerka. Nie możemy cię zwolnić z restauracji. I wcale byśmy nie chcieli! Na pewno jesteś w tym świetna.

- Doskonała - dodała w tle Trish.

Pobory z organizacji pracowniczej zasilają jej pensję. Dość skromnie, co prawda, i ich braku nie odczułaby boleśnie, ale bez świadomości, że dla niej pracuje, bez statusu agenta, który jej zapewniała, Maggie była... była tylko...

- Będę kelnerką - powiedziała. - Nie działaczką udającą kelnerkę. Tylko... kelnerką.

- To nie wstyd... - wtrącił się do rozmowy Jake.

- Żaden wstyd, pewnie - dokończyła za niego Maggie. - A mogę mówić ludziom, że dalej dla was pracuję?

Odniosła wrażenie, że Brenna krzyknęła bezgłośnie.

- A mówiłaś ludziom, że dla nas pracujesz? To niedobrze. Maggie? To całkowicie podważa istotę sprawy. Cholera. Mówiłaś komuś, że dla nas pracujesz? Mówiłaś komukolwiek, co robimy?

- Nie - skłamała.

- Okej. Uff. Uff. Nastraszyłaś mnie.

Maggie rozłączyła się i wróciła tylnymi drzwiami do kuchni. Z grilla gazowego dolatywał swąd przypalanego mięsa. Dwóch kucharzy śmiało się i przeklinało po hiszpańsku, kiwając się i uderzając nawzajem po krocach. Ruszyła w ich stronę i stanęła na muszli do taco, która rozpadła się z suchym rozpaczliwym odgłosem.



Odeszła z Taqueria Insufrible i trafiła do dobrze się zapowiadającego rejonu Queens, gdzie znalazła pokój na piątym piętrze budynku, w którym spółka Hasidic przerwała prace remontowe. Zastanawiała się, jak będzie zarabiać na życie. Co miała robić? Do czego się nadawała? Zasypała Ridgewood ulotkami, oferując usługi jako opiekunka do dzieci i psów. Telefon jakoś milczał. Jaki sens miała ocena na amerykańskim dyplomie, skoro nie mogła jej zainwestować w podjęcie wykańczającej amerykańskiej pracy zarobkowej? Przez dwa niespokojne tygodnie przejmowała się swoim bezwładem. A potem zadzwoniła Oksana Kozak-Nakahara.

Pochodząca z Ukrainy Oksana, najstarsza i zarazem najwytrwalsza ratowniczka medyczna w swoim zespole – w Ukrainie była utytułowaną miotaczką i lekarką – szukała Amerykanki lub Amerykanina, po college'u, żeby monitorował postęp edukacyjny jej synów i pracował nad ich angielskim. Maggie ochoczo przyjęła posadę. Na pierwszym spotkaniu Bruno walnął ją pięścią w brzuch. Oksana ukarała go trzema siarczystymi klapsami. Maggie i tak przyjęła posadę.

Chłopcy, jak się zorientowała, po angielsku mówili płynnie. Potrzebowali tylko pomocy, by ukończyć gimnazjum, nie obracając go w perzynę.

– Jak skończę MathBlast, mogę iść do siebie i pomajstrować przy swoich zestawach robotycznych? – spytał Alex.

– Pedał – skwitował Bruno. Maggie nie wiedziała, czy to z powodu MathBlast czy robotów.

Alex wzniosł oczy do sufitu.

– Znajdź sobie dziewczynę.

– Bruno, jak się wyrażasz? – interweniowała Maggie. – Alex, gdzie uprzejmość? Obaj wrzucacie po dolarze do słoja.

To ona wymyśliła słów. Nie był to trywialny karny słój za przekleństwa, tylko słój dobroci, na tyle pojemny, by pomieścić większość przejawów niewłaściwego zachowania. Nie miała nic przeciwko temu, jak chłopcy ją traktowali – im gorzej się zachowywali,

tym bardziej czuła się usprawiedliwiona, że uczy ich podstaw *pro bono* – ale nie tolerowała okrucieństwa między nimi.

– Ja mam dwie dziewczyny i nigdy się nie popisuję – mówił pod nosem Alex. Chłopcy wrzucili monety do słoja na blacie w kuchni, gdzie stał w rogu przy bloku noży.

Brunon wrócił do matematyki, za pomocą ołówka zamieniając diagramy kołowe w penisy. Alex poszedł majstrować. Maggie przysiadła w kąciку Flower, przez chwilę trącała ją nosem, a potem wstała i poszła do kuchni. Spojrzała na słów. Był pełen w trzech czwartych, nasycona zieleń i nachyłkowa żółć, gąszcz banknotów nad posłaniem miedzi i cynku. Jej małe fiskalne terrarium. Udała, że kaszle, i wydobyla garstkę dolarówek, po czym wepchnęła je do kieszeni.

Gospodarka Maggie, jak wszystkie inne, pełna była paradok-sów. Zła koniecznego. To było jedno z nich: aby obciążać rodzinę Nakaharów tak niską należnością za swoje usługi, musiała od czasu do czasu coś od nich wziąć.

Ważniejsze pytanie brzmiało, czy chłopcy też łupili słów. Niemal na pewno – przez cały tydzień słoja nikt nie pilnował – ale co miałyby Maggie powiedzieć, nie posuwając się do hipokryzji? Owszem, kradła, ale hipokryzji mówiła stanowcze „nie”.

Dwie godziny później pożegnała się z chłopcami i ruszyła do domu. Mieszkała kilka przecznic dalej nad niedomagającą linią Bushwick-Ridgewood, gdzie pociąg linii M z łomotem przejeżdżał po estakadzie, zgrzytając stalowymi kołami. Pogranicze Brooklynu i Queens tętniło życiem i kipiało fermentem, jakby każda z dziel-nic uważała, że dla zachowania tożsamości musi się wyróżniać i być w konflikcie.

Jej kamienica, o całych piętrach zabitych na głucho, stała naprzeciwko Food Bazaar i obok wykopu. Wykop był ogromny i zajmował cały widok z jej okna na piątym piętrze. Często na niego patrzyła. Wpatrywała się w niego. Uważała, że jest lepszy

niż telewizja – chociaż nie miała telewizora – lepszy nawet niż wi-fi, za które płacili rodzice jej współlokatorki. Wykop! Czasami widziała małe ludziki w kaskach chodzące po jego skraju, pokazujące coś sobie, wykrzykujące polecenia. Wykop miał się przerodzić w parking, a może w kolejną kamienicę, w sklepy, w cokolwiek. Ale prace postępowały powoli. W tej chwili był to wykop, wykop Maggie, jama o olbrzymim potencjale.

Jej skrzynka na listy była zapchana brudną paką. Z trudem podważyła klapkę i w środku ujrzała złączony gumką plik rachunków i katalogów. Sortowała je, wchodząc po schodach. Spółka energetyczna chciała pieniędzy, jej uczelnia chciała pieniędzy. Maggie zastanawiała się, po co w ogóle zaglądała do skrzynki.

Wepchnęła zawiniątko pod pachę, wilgotną od wspinaczki na piąte piętro, i weszła do mieszkania.

Jej współlokatorka, nosząca, niestety, również imię Maggie, siedziała bez siły na niebieskim płóciennym krześle turystycznym, które nasza Maggie przyniosła z ulicy przed kilkoma miesiącami.

– Ciężki dzień?

– Obłąd. Urodziny trójki uczniów. Już sam ten cukier by wystarczył. Moje dzieciaki były na haju. Totalne szaleństwo.

Druga Maggie była nauczycielką trzecich klas w AmeriCorps. Nienawidziła tego. Jej uczniowie ciągle zdzierali sobie nawzajem z pięt tenisówki, a potem uciekali się do przemocy. Dziwne było zobaczyć ją, jak tak siedzi zatopiona w głębokiej kieszeni płóciennego siedziska. Większość czasu ukrywała się w swoim pokoju, jej istnienie sprowadzało się do kliknięć i trzasków zamka, światła w szparze pod drzwiami.

– Tak, tak, kumam. Szkoda, że nie widziałas dzisiaj moich chłopaków. Bruno znowu się na mnie rzucił.

– Maggie – powiedziała Maggie udreńczonym głosem. – Zajmujesz się dwoma chłopcami. Ja uczę trzy klasy po dwudziestu uczniów. Nie masz pojęcia, jakie to wyczerpujące.

– Dobra, spokojnie. Nie licytuję się.

Maggie nie znosiła, gdy jej sublokatorka mówiła takim protekcyjnym tonem. Nie miała wykształcenia pedagogicznego i niemal na pewno tylko szkodziła swoim uczniom. Ostatnie, czego potrzebowali, to niewykwalifikowana biała zbawicielka pod tablicą.

Drwiąc pod nosem, poszła do swojego pokoju. Już i tak denerwowała się imprezą u Emmy. Teraz była w okropnym nastroju. Rzuciła pocztę na łóżko, gdzie ta ułożyła się w kształt wyciągniętej ręki.

Jej uwagę przykuło coś jasnego. Pod nietrafioną „Pracującą matką” znalazła śnieżnobiałą kopertę – w lewym górnym rogu widniało nazwisko jej ojca i nazwa ulicy, na której się wychowała.

Kiedy po nią sięgnęła, przez głowę przeszły jej równocześnie dwie myśli. Jedna: „Że co?!”. I druga, silniejsza myśl, którą tamta wyprzedziła o ułamki sekund: że poczta analogowa to coś tak oficjalnego, tak zeszlówiecznego, że koperta wydaje się małym białym smokiem.